



Mal-
wer-
san-
ci

Anna

Kłodzińska

Anna Kłodzińska

MALWERSANCI

Kryminał z myszką – Tom 54

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-48-5

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsza publikacja: dziennik „Kurier Polski” (w odcinkach), rok 1961

Rozdział 1

– A ja gwizdzę na dyrektora. Rozumiesz?

Wilczyński kopnął ze złością kosz od śmieci i wpakował ręce w kieszenie spodni. Lewa połowa twarzy drgała mu nerwowo.

– Nie odstawiaj bohatera – mruknął Adamczak, przyglądając mu się z ironicznym uśmiechem. – Ty jesteś odważny tylko wobec nas, a przed dyrektorem... – umilkł, bo Wilczyński poderwał się i schwycił go za krawat.

– Co przed dyrektorem! – syczał, czerwony z gniewu. – No, powtórz... Co przed dyrektorem? Bo ci tu ten...

– Panowie, na miłość boską! – zawołał przestraszony starszy ekonomista Namitkiewicz. – Jesteśmy w biurze, a nie w knajpie. Panie Jasiu, niechże pan natychmiast go puści. Do czego to podobne. Wejdzie ktoś z interesantów i... Niech pan siada i uspokoi się. Kolega Adamczak nie chciał z pewnością...

– Chciałem – przerwał gniewnie Adamczak, rozcierając sobie szyję. – Niech pan mówi za siebie. Chciałem mu raz wygarnąć prawdę. Przed nami... a zresztą, co mnie to obchodzi – zakończył niespodziewanie, słysząc znajome kroki w korytarzu. Drzwi otworzyły się i stanął w nich dyrektor biura, Gilewski.

– Panie magistrze, niech pan pozwoli do mnie na chwilę – zwrócił się do Namitkiewicza. – I niech pan weźmie ze sobą teczkę dostaw za wrzesień.

– W tej chwili, panie dyrektorze – ekonomista podniósł się z krzesła i sięgnął do stojącej za nim szafy. – Jakaś kontrola? – zapytał, wyjmując zieloną aktówkę.

– Nie, prasa – uśmiechnął się Gilewski, przyglądając się ze zdziwieniem poczerwieniałej twarzy Wilczyńskiego. – Czy pan nie chory? – spytał podchodząc do jego biurka.

Wilczyński zerwał się i uśmiechnął z wysiłkiem.

– Nie, panie dyrektorze – odparł, poprawiając leżące przed nim papiery. – Czuję się zupełnie dobrze.

Czuł na sobie ironiczny wzrok Adamczaka. „Stłukę mu mordę” – pomyślał z wściekłością.

– Zdaje się, że pan ma gorączkę – dodał jeszcze dyrektor. – Jakby pan się źle czuł, to proszę iść do ambulatorium, lekarz wyda zwolnienie. Niech mi pan tu grypy nie roznosi – rzucił z uśmiechem i wyszedł. Tuż za nim, z teczką pod pachą, wysunął się Namitkiewicz.

– Świetny człowiek – westchnęła z drugiego pokoju jedna z pracowniczek. – Takiego drugiego dyrektora, jak nasz, to ze świecą szukać.

– Prawda – przyświadczyła woźna, rozstawiając na biurkach szklanki z herbatą. – Jak we środę czterech zostało na garbunkowym godzinę dłużej, bo trzeba było bębny oczyścić, to przyszli na drugi dzień do dyrektora, że to niby tak długo pracowali i żeby im do kart wpisać. A dyrektor – sama słyszałam, jak raz drzwi na korytarz były otwarte, a ja brałam się za sprzątanie – więc dyrektor mówi im tak: „Moi ludzie kochani, do kart to wam księgowy pewnie wpisać nie da, bo czyszczenie bębnow trzeba było zrobić tak czy tak, to jest wasz obowiązek, ale żebyśta stratni nie byli, to ja wam tu od siebie coś dam”. Wyszli potem na korytarz, a ja pytam Walczaka: „Dużo wam dał?” A Walczak mówi: „dwa patyki” i uśmiecha się. Znaczy się, dwa tysiące. No, sami powiedzcie, który dyrektor dałby tak ze swojego dwa tysiące robotnikom? – Co?... Pan do kogo?

Mężczyzna, który od paru minut stał za jej plecami i cierpliwie czekał końca tej tyrady, odpowiedział grzecznie:

– Do pana Wilczyńskiego.

– W tamtym pokoju. Dla pani sekretarki herbatkę?

– Proszę. Tylko mocną. Albo nie, pani Ząbik, niech mi pani da samego wrzątku, zrobię sobie neskę.

Obcy mężczyzna wszedł do następnego pokoju, a dojrawszy Wilczyńskiego, przywitał się z nim serdecznie.

– Aż tu trafiłem, jak pan widzi – roześmiał się, kładąc na krześle brązową teczkę i kapelusz.

– Ciągłe ta sama sprawa? – spytał Wilczyński, częstując go papierosem. Był zadowolony, że nieoczekiwanie wizyta przerwała jego kłótnię z Adamczakiem.

– Tak. Okazuje się, że ten facet pracował kiedyś w Centrali Garbarskiej.

– U nas? – zdziwił się referent. – To musiało być już bardzo dawno. Nie pamiętam nikogo o takim nazwisku.

– Ach, no oczywiście. Przecież to było dziewięć lat temu. Pan był chyba wówczas jeszcze w szkole.

– No, taki młody to znów nie jestem – roześmiał się Wilczyński. – Chociaż... słowo daję, że dziewięć lat temu byłem dopiero w jedenastej klasie. Ma pan rację inspektorze.

Inspektor z Państwowego Biura Kontroli, Tadeusz Kowalski, przyglądał mu się z rozbawieniem. Jego szczupła twarz o ostrych rysach, złagodzonych miłym uśmiechem, miała koloryt żółtawy jak kość słoniowa, a pod oczami i obok ust biegła gęsta sieć drobniutek zmarszczek.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, do pokoju wpadł raczej niż wszedł blady, łysawy blondyn w niebieskiej marynarce z welwetu.

– Jasiu, dasz papierosa? – zwrócił się do Wilczyńskiego. – O, przepraszam. Nie wiedziałem, że masz interesanta.

– Proszę – Kowalski podsunął mu papierośnicę.

– Serdecznie dziękuję. Odwdzięczę się przy okazji. Pan pozwoli, Łaciak, z oddziału gospodarki materiałowej.

– Kowalski.

Podali sobie ręce.

– Ładna pogoda dzisiaj, co?

– Owszem – uprzejmie przytaknął inspektor.

– Co to ja... tego. A Kolasińskiego pan zna?

– Słuchaj, może byś mi nie przeszkadzał w rozmowie, dobrze? – powiedział Wilczyński niechętnie.

– Już uciekam. Można jeszcze na drogę? – wyciągnął z otwartej papierośnicy dwa „Grunwaldy”, przytknął błazeńsko palec do czoła i wyszedł.

Poprzedniego wieczoru był w Teatrze Dramatycznym na „Uczcie morderców”, cały czas chichotał jak szalony i teraz usiłował powtórzyć tamte dowcipy. Każdego z napotkanych kolegów pytał z udanym roztargnieniem: „Kolasińskiego pan zna?”. Gdy słyszał odpowiedź: „nie znam”, pytał, dusząc się ze śmiechu: „a kogo?” i szedł dalej. Za czwartym razem jednak ktoś odparł: „Znam” i Łaciakowi zabrakło konceptu. Zastanawiał się, co by wówczas odpowiedział autor ustami swego bohatera, ale ograniczona wyobraźnia nie podsuwała mu nic interesującego.

Wilczyński zaprowadził inspektora do działu kadr i pożegnawszy go, przystanął w zamyśleniu na korytarzu. Miał kłopoty natury finansowej i zastanawiał się, od kogo by pożyczyć dwieście czy trzysta złotych. Przez chwilę przyszedł mu na myśl Kowalski, ale odrzucił ten projekt. Mimo wszystko znali się jednak zbyt mało.

Tak, ale wiedział, że Maria nie ma już pieniędzy na dom. Bieliznę z pralni można było od biedy wykupić pierwszego, pozostaje rachunek za światło i gaz. No i jedzenie. Do wypłaty jeszcze cały tydzień.

– Co pan taki zamyślony, panie Wilczyński? – usłyszał czyjś głos nad uchem. Wzdrygnął się i odwrócił głowę. Przy nim stał Olański, majster oddziału wykańczalni, i uśmiechał się przyjaźnie.

Młody referent popatrzył na niego z roztargnieniem i nagle pomyślał, że taki majster, co zarabia blisko trzy tysiące, powinien mieć przed pierwszym parę setek w portfelu. Zawstydił się jednak i prędko odpędził pokusę. Nie zdarzyło się, żeby pracownicy biurowi pożyczali od „tych z produkcji”. W gruncie rzeczy, pomimo dużo niższych zarobków, uważali się za coś lepszego.

– Nic, tak się zamyśliłem – mruknął i wrócił do swego pokoju.

Inspektor Kowalski nie załatwił w kadrach swojej sprawy, bo kierownika nie było. Podstemplował więc przepustkę i wyszedł na podwórze, błądząc między stosem szklanych balonów po kwasie, kadziami z garbnikiem i blado-niebieskimi ścinkami mokrej skóry. Wreszcie zobaczył nad starym, czerwonym murem przesuwający się pałak tramwaju i skierował się w stronę portierni.

Lubił tak błądzić, trochę umyślnie, po obcych fabrykach i biurach, dostrzegając w nich przy tej okazji to i owo, z czego później niejedyn kierownik musiał się gęsto tłumaczyć.

Brama przy portierni była szeroko otwarta, stał przed nią ciężarowy samochód pełen skór. Inspektor Kowalski zbliżył się od niechcienia i rzucił na nie okiem. Z grubsza biorąc, były to jakieś trzy tony skóry twardej. Dojrzał krupony i boki, niedbale nakryte zielonkawą plandeką. Na samochodzie widniał napis: Warszawskie Zjednoczenie Handlu Obuwiem.

W portierni tęgi mężczyzna w zatłuszczonej kurtce odbierał już i chował swoje papiery, pozostawiając tylko przepustkę.

– Przepraszam... – szepnął inspektor, potrącając silnie łokciem grubego konwojenta. Ten złapał się za ramię, wypuszczając spod pachy teczkę. – Bardzo pana przepraszam – schylił się błyskawicznie i podniósł teczkę, podając ją tęgiemu mężczyźnie z miłym uśmiechem.

– Mógłby pan uważać – odburknął tamten, pocierając bolące ramię. Obrzucił go złym wzrokiem, wepchnął teczkę pod pachę i wyszedł. Po chwili ciężarówka wytoczyła się za bramę i znikła.

– Co pan tu robi? – spytał portier podejrzliwie, drapiąc się po zarośniętym karku. – Przepustkę pan ma?

Kowalski podał mu papierek, powiedział grzecznie: do widzenia i wyszedł na ulicę.

Miał sporo do myślenia na temat pobytu w przedsiębiorstwie. Teczka konwojenta wypchana była pociętymi na kawałki kruponami, najlepszej części twardej skóry podeszwowej.

Szedł wzdłuż muru Centrali, minął przystanek tramwajowy i ocknął się dopiero na rogu ulicy Świerczewskiego, gdy ogarnął go szum pojazdów i gwar spieszącego się tłumu.

*

Wilczyński wszedł do tramwaju, niedbale okazał konduktorowi miesięczny bilet i wcisnął się w kąt platformy, zapinając szczelnie płaszcz, bo przez otwarte drzwi leciał chłód.

Nie dostał pożyczki. Właściwie, przed pierwszym pieniądze miał zawsze tylko Namitkiewicz, ale z zasady nie pożyczał – no i Adamczak, ale do niego Wilczyński nie mógł się zwrócić, żałował teraz, że nie poprosił jednak inspektora. Chyba by nie odmówił.

Odechciało mu się powrotu do domu, na obiad. Wiedział, że Maria nie od razu zapyta o pieniądze, że zrobi to później nieśmiało, z przepaszającym uśmiechem. I to właśnie było najgorsze. Już by chyba wolał, żeby krzyczała, robiła awantury. Mógłby wówczas również krzyczeć na nią, że widocznie za dużo wydaje – co oczywiście było nieprawdą – że on nie jest w stanie nastarczyć na cztery osoby, i tak dalej. Mógłby potem trzasnąć drzwiami, że oto ma

już dosyć wszystkiego, i tego domu z awanturującą się żoną, i wiecznych krzyków o pieniądze...

Tak, ale Maria nigdy nie krzyczała ani nie dopominała się. Prowadziła dom tak oszczędnie, jak tylko się dało, cerowała i przerabiała sama bieliznę i ubrania dzieci, a w dodatku wieczorami przygotowywała się do egzaminu na zaocznych kursach księgowości i stenografii. Robiła wszystko, żeby mu pomóc, a on nie mógł w żaden sposób zrobić jej sceny i po męsku wynieść się z domu na cały wieczór. Niech to diabli...

W gruncie rzeczy przecież ją kochał i po prostu nie mógł dać sobie rady z pieniędzmi. Maria zapewniała go wprawdzie, że jeszcze dwa, trzy miesiące, i ich sytuacja się zmieni. Ona zacznie pracować, dorobi te brakujące półtora tysiąca, potem może i więcej.

– Znów się spotykamy – powiedział ktoś, dotykając jego ramienia.

Spojrzał bokiem. To był Olański. Jechał widocznie razem z nim już od przystanku obok Centrali, a on wcale tego nie zauważył.

– Widzę, że się pan czymś trapi – rzekł majster półgłosem. – Na frasunek dobry trunek. Może wstąpimy na małą przekąskę?

Wilczyński poczuł nagle, że ma szaloną ochotę na kieliszek wódki i – powiedzmy – „tatar” albo marynowanego śledzika. Oczy mu rozbłysły i natychmiast przygasły. Przecież nie ma...

– Ja pana zapraszam – Olański obserwował go uważnie. – Cóż to, chyba nie wstydzi się pan zjeść i wypić razem z majstrem?

– Głupstwa pan mówi, panie Wacławie – odparł referent zmieszany.

– I nie hańba to dla pana przyjąć zaproszenie. Zresztą, nie idziemy przecież na jakiś wielki ochłaj – roześmiał się. – Pan jada obiady w domu?

Wilczyński przytaknął.

– No, widzi pan. I ja też. A to będzie tylko taka mała przekąska.

– Mój ojciec był garbarzem – bąknął referent, ni w pięć ni w dziewięć, kiedy wysiedli na placu Konstytucji i szli w stronę biur „Orbisu”.

– Co pan powie? – zdziwił się grzecznie Olański. – W Warszawie?

– Nie. W Krakowie. Ale zmarł podczas okupacji. Dokąd idziemy?

– Do „Małego Smakosza”. To pan przejął po ojcu fach, panie Wilczyński, co? Tylko za biurkiem to pan wiele nie zarobi. No, proszę – popchnął go przodem, gdy stanęli przed barem. – Chodźmy od razu do drugiej salki, tam swobodniej. Czekał pan, ja tu zaraz co... – rozglądał się po półmiskach z wędliną i rybami, stojących za szklaną gablotą. – Idź pan i zajmij miejsce przy blacie, ja przyniosę co trzeba.

Po paru minutach przytасzczył dwie „setki”, talerzyk z pasztetem i schabem na zimno, widelce.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI